



Żydowski studenci – od góry:  
Adek Lewin z Kutna, NN ze Środy Wielkopolskiej  
i Józio Lustyk z Osielska pod Bydgoszczą  
– wyglupiają się z okazji święta Purim.  
Poznań, 18 marca 1937

# ADUCHNA, WEŹ CZEKOLADKĘ

Kiedy miałam osiemnaście lat, zachorowałam na zapalenie ślepej kiszki. Położono mnie w szpitalu blisko Starego Rynku<sup>34</sup> jako pacjentkę renomowanego profesora. Operacja była prywatna, co oznaczało znaczny koszt, a dodatkowo Tatuliński wykupił dla mnie pokój pierwszej klasy, pojedynczy. Może chciał, żeby mi było wygodnie, a może obawiał się, że ktoś zrobi mi przykrość jako Żydówce? Zapomniał mi jednak o tym powiedzieć, więc gdy pielęgniarka wprowadziła mnie do pustego pokoju, przestraszyłam się. – *Mam zostać sama? Nie usnę tu!* Wystarczająco byłam przerażona operacją. – *To czego chcesz?* – zapytała siostra. – *Chcę spać z innymi!* Spojrzała na mnie zdziwiona, ale zawiozła do sali trzeciej klasy, w której stało osiem łóżek.

Wieczorem przyszedł szpitalny ksiądz. Wiedział, że jestem Żydówką i że następnego dnia mam mieć usuwany wyrostek. – *Jak będą cię operować, staraj się poruszać dużym palcem prawej nogi. To pomaga* – żartował. Potraktowałam go serio – nie wiedziałam, że w znieczuleniu nie włada się ciałem. Pocieszał mnie: – *Strach ma wielkie oczy, nie bój się.* Noc jakoś przespałam, ale kiedy nazajutrz wzięli mnie na operację, zaczęłam się trząść. Siostra zakonna zauważyła to, przystanęła i powiedziała coś do pielęgniarki. Przystanęli i zaczął kręcić w kółko moim łóżkiem – dla zabawy, dla odprężenia. Śmiałyśmy się, ale pomogło tylko na chwilę. Leżałam na stole operacyjnym znieczulona do połowy i próbowałam opanować swój lęk, gdy jakaś siostra zakonna pochyliła się nade mną. Uśmiechnęła się i zaczęła mnie głaskać po głowie, coś mówić. Potem uwolniła moją rękę z pasa, którym przywiązano mnie do stołu i zacisnęła w swojej dłoni. Trzymała mnie za nią i ratowała aż do końca operacji.

W mojej sali, cztery łóżka ode mnie, czekała na operację Rita Banaczyk. Jej rodzina miała ziemię koło Rakoniewic i była chyba jakoś skoligacona z Niemcami. Rita przeszła już jedną operację w Berlinie. Ona była zamężną kobietą, ja jeszcze nastolatką, ale przypadłyśmy sobie do gustu. Pomagała mi wstawać, podawała rzeczy,

otwierała okno, przy którym leżałam. Kiedy wychodziłam ze szpitala, zostawiłam jej adres naszego interesu. Odszukała mnie wkrótce. Przyszła z mężem, wysokim, kulturalnym mężczyzną koło trzydziestki. Nazywał się Władysław Banaczyk<sup>35</sup> i był prawnikiem, współpracownikiem ludowego polityka Stanisława Mikołajczyka. Ona też była wysoka i ładna, pasowali do siebie<sup>36</sup>. Mieszkali gdzieś w śródmieściu, a ponieważ Rita nie miała w Poznaniu wielu znajomych, zaczęła do mnie zachodzić. Brałam pieska i szliśmy na spacer, a czasem z nią i z jej mężem spotykałam się w kawiarni.

Władek dużo pracował i angażował się w politykę, był więc zadowolony, że Rita ma przyjaciółkę. Kiedy w Teatrze Polskim zapowiadała się premiera, zapraszali mnie na przedstawienie. Lubiłam teatr. Zawsze gdy mamusia wyjeżdżała do swoich kurortów, chodziłam z Tatulińskim do Teatru Wielkiego – uwielbiał operę – albo umawiałam się z Nani Sonnabend w Teatrze Polskim. Kiedyś wybierałam się do Polskiego z Banaczykami. Poszłam w nowej sukience: jasnoniebieskiej, wyszywanej srebrnymi nićmi, ze sztukowanym kołnierzem. Niepodobnej do innych, uszytej według moich wskazówek przez Melanię Jańczakównę. Władek żartował, że gdy weszłam na widownię wszyscy oglądali mnie z większą uwagą niż potem spektakl.

Banaczykowie poznali moich rodziców, chyba nawet odwiedzili nas kiedyś w domu. Władek ogromnie polubił się z tatusiem i od czasu do czasu wstępował do naszego składu, by się z nim przywitać i porozmawiać, przeważnie o polityce. Zachodzili tam zresztą wszyscy, którzy chcieli spotkać ojca. Przychodzili brzezińcy, którzy przejazdem byli w Poznaniu, zachodził Wacław, syn państwa Boguckich, który zaczął studia – Boguccy przeprowadzili się wtedy już na wieś<sup>37</sup> – różni kupcy, znajomi tatusia, członkowie organizacji syjonistycznej, do której tatuś należał... Wiadomo było, że Tatuliński zawsze jest w interesie. Jeśli nie podróżował do Łodzi albo nie wybierał się na wakacje, siedział przy Starym Rynku od ósmej rano aż do siódmej wieczorem. Jeszcze po zamknięciu sklepu obliczał i wpisywał do księgi rachunkowej utarg, a ekspedienci odwieszali pozdejmowane w ciągu dnia dla klientów ubrania i robili porządek.

Mieliśmy skład na piętrze okazałej kamienicy przy Starym Rynku pod numerem 64. Należała do braci Tietzów, niemieckich Żydów mieszkających w Berlinie<sup>38</sup>. Tatuliński płacił komorne administratorce Polce, a ta przesyłała pieniądze do Niemiec. Wielu kupców wynajmowało tak lokale, bo dawni poznańscy Żydzi czuli się Niemcami i po powstaniu niepodległej Polski w większości wyemigrowali. Nasz interes mieścił się w obszernym, długim pomieszczeniu ciągnącym się w głąb kamienicy. Tyłem do dwóch wielkich, półokrągłych okien wychodzących na Stary Rynek, stało biurko tatusia. Po bokach, wzdłuż obu ścian, jedno nad drugim wisały na drążkach gotowe garnitury według rozmiaru. Wszystkie szyte przez naszych krawców. Na noc zasuwano się je czarnymi firankami, żeby się nie kurzyły, a w dzień, gdy przychodził klient, wyjmowało na długi, ustawiony pośrodku stół.

Fira Melamedzon z Dianką na pl. Wolności.  
Poznań, 27 lutego 1937

Fira Melamedzon, Rita Banaczyk i Maks Brandt  
na ul. Ratajcza – przy Bibliotece Uniwersyteckiej.  
Poznań, listopad 1935.  
Kopia fotografii, która zaginęła





Tatusz był rozsądnym kupcem. Daliśmy sobie radę nawet kiedy przyszedł Wielki Kryzys<sup>39</sup> i ludzie mniej kupowali. Miał zasadę, że tak jak płacił gotówką, tak sprzedawał jedynie za gotówkę. Nie wystawiał weksli ani nie przyjmował czeków. Klienci o tym wiedzieli, ale wiedzieli też, że jeżeli ktoś nie miał pełnej sumy, a nagle potrzebował na przykład czarnego ubrania na pogrzeb, mógł zostawić zastaw: zegarek, cenną papierośnicę, sygnet... A w umówionym terminie przyjść i dopłacić resztę. W ten sposób ojciec zawsze był wypłacalny.

Tatuliński zwykle zaczynał dzień od spaceru z Dianką. Wychodził Maształarską lub przez plac Wolnica<sup>40</sup> na aleje, jak nazywaliśmy Aleje Marcinkowskiego, i ulicą Nową<sup>41</sup> schodził do interesu, gdzie oddawał mi pieska. Bo skład w tym czasie już działał. Odkąd dorosłam, otwieranie go należało do mnie. Codziennie rano przechodziłam całą Wroniecką, a znajdujące się przy niej interesy też właśnie się otwierały. Z wolna zaczynał się zwyczajny ruch. Znaliśmy się wszyscy, więc kiedy tak szłam, raz z lewa, raz z prawa słyszałam od kupców, obojętne żydowskich czy polskich: – *Dzień dobry. Dzień dobry pani.* I tak przez lata. – *Będzie mi tego brakowało* – powiedziałam sobie, kiedy miałam wyjeżdżać do Palestyny.

Fira Mełamedzon z Dianą, prawdopodobnie na Alejach Marcinkowskiego. Na odwrocie napis: „To są te planty (aleje), w których zawsze spaceruję”.  
Poznań, listopad 1937

Fira Mełamedzon. Poznań, lata 30. XX wieku

Fira Mełamedzon na Starym Rynku, za nią Pałac Działyńskich. Poznań, 10 października 1938



10. 8. 38



Stary Rynek, fotografia z okien  
składu Mełamedzonów. Poznań, ok. 1938

Pracownicy składu konfekcji męskiej Melpoz.  
Rachela Mełamedzon (pierwsza od prawej),  
Ogorzeja (trzeci od prawej) i Marek Lewkowicz  
(trzeci od lewej), pozostali nieznanymi.  
Poznań, początek lat 30. XX wieku

Fira Mełamedzon z ekspedientkami składu,  
za nimi Ogorzeja. Poznań, początek lat 30. XX wieku

NASI PRACOWNICY T. 1928



MAMUSIA



1933



Maryla Lewkowicz z Niutkiem. Poznań 1938

Marek Lewkowicz na Starym Rynku, fotografia  
na tle zachodniej pierzei. Poznań 1938

Niutek Lewkowicz. Poznań, 21 stycznia 1938

Maryla, Marek i Niutek Lewkowiczowie. Poznań 1938



Zatrudnialiśmy czworo ekspedientów. Ojciec wybierał wyłącznie Polaków, bo nie chciał, żeby interes był kojarzony z właścicielem Żydem. Dlatego też nazwał firmę Melpoz – od Mełamedzon Poznań. Ale kiedyś, był chyba rok 1930, w porze obiadowej przyszli do ojca przedstawiciele gminy żydowskiej i poprosili, żeby zatrudnił jeszcze jednego pracownika. Wprawdzie wiedzą, że ma już dosyć ekspedientów – mówili – ale interes dobrze prosperuje a pewna żydowska rodzina znalazła się w tragicznym położeniu. On nazywa się Marek Lewkowicz, przyjechał z Kalisza szukać pracy, lecz od paru miesięcy nie może jej znaleźć. Nie mają z czego żyć. Na dodatek jego młodzianka żona właśnie rodzi w Szpitalu Miejskim. Jest jednak za wąsko zbudowana i cierpi, nie może urodzić, matce i dziecku grozi

śmierć. Pan Lewkowicz przyszedł do gminy po pomoc, a oni po zastanowieniu postanowili pójść z tym do pana Mełamedzona.

Śmiali się potem z Tatulińskiego, że kiedy słuchał tej opowieści, ukradkiem, udając, że coś wpadło mu do oka, obcierał łzy. – *A jak on wygląda?* – zapytał. – *Niestety, ma semicki wygląd* – przyznali. Spodziewali się, że ojciec może nie chce go zatrudnić, ale Tatuliński powiedział: – *Dobrze, chcę go zobaczyć*. Zawołali Lewkowicza, który czekał na klatce schodowej. Tatuś przyjrzał mu się, wyjął z portfela sto złotych i mówi: – *Angażuję pana i daję zadatek. Będzie pan miał pensję jak sprzedawca*. Pensja u nas nie była wysoka, na poziomie przeciętnego urzędniczego wynagrodzenia, ale ekspedienci dostawali dodatkowe procenty od liczby sprzedanych ubrań. Lewkowicz od razu pobiegł z banknotem do szpitala. Wpadł na oddział położniczy, gdzie leżała Maryla, jego żona i wymachując stuzłotówką zawołał: – *Mam pracę, mam pracę!* Wtedy ona krzyknęła: – *O!* Krzyknęła tak głośno i z taką ulgą chyba, z nadzieją na normalne życie, że nerwy puściły, wstąpiły w nią nowe siły i zaczęła rodzić. Urodziła zdrowego chłopczyka, małego Niutka. Każdy mówił o nim, że to dziecko naszego interesu.

Przyjaźniłam się z Lewkowiczami<sup>42</sup>. Mieszkali przy Małych Garbarach, kawałek za synagogą. Maryla była dobrą i ładną kobietą, kilka lat starszą ode mnie. A Niutek – albo Natek, bo tak też na niego wołali – wesołym, ciemnym blondynkiem, jak jego mama. Zapraszali mnie na swoje rocznice ślubu albo na urodziny syna, które przypadły chyba jesienią czy zimą, chodziliśmy razem na spacer. Byli kochającą się, wyjątkowo udaną rodziną.

Poza Lewkowiczem zatrudnialiśmy jeszcze dwóch ekspedientów – pana Ogorzeję i trzeciego, którego nazwiska nie pamiętam – oraz Walę Styżyńską<sup>43</sup>, która obsługiwała stoisko z kobiecymi paltami. Właśnie od Ogorzei<sup>44</sup>, wesołego i rozmownego mężczyzny przed trzydziestką, dostałam pincerkę Diankę. Widać ją na wielu fotografiach, bo wychodząc z domu lubiłam brać ją ze sobą. A Wala była kochana i jedyna. Z początku zatrudnialiśmy inne ekspedientki, ale Wala okazała się niezastąpiona. Spokojna, uśmiechnięta, zawsze dobrze ubrana i rozsądna, łatwo zdobywała sympatię i zaufanie klientek. Tatuś wysoko ją cenił. Przyjaźniłam się z nią i ubolewałam, że z nikim się nie związała. Nie znalazła odpowiedniego mężczyzny. Żyła sama w wynajętym pokoju.

Marek Lewkowicz przepracował u nas całe lata, choć sporo klientów wiedziało, że jest Żydem. Jeszcze zanim rozpoczęły się bojkoty i przed żydowskimi interesami zaczęli stawać pikieciarze, niektórzy klienci widząc Lewkowicza pytali dyskretnie: – *Czy właścicielem składu przypadkiem nie jest Żyd?* Ekspedienci solennie zaprzeczali: – *Nie, nie, szef pochodzi z Rosji*. Rzeczywiście, Tatuliński mówił z rosyjskim akcentem, miał ciemnoblonde włosy i nie wyglądał na Żyda. Pryncypałem był wymagającym i nasi pracownicy spędzali w interesie całe dni, ale szanowali go i stawali za nim murem. Jeżeli komuś zachorowała matka, brakowało mu na ogrzewanie albo dopadły go inne trudności i zwrócił się do ojca o pożyczkę – wiadomo



Wala Styżyńska na Górze Przemysława.  
Poznań, 12 maja 1939

było, że pomoże. Części pieniędzy Tatuliński nie traktował nawet jak pożyczki, tylko dodawał od siebie. W prezencie. – *Masz, przyda ci się*. Każda transakcja musiała być zapisana w księdze obrotów, kwoty musiały się zgadzać, ale ojciec w takich przypadkach pomijał w rachunkach jakiś garnitur. Sprzedawał go, ale w księdze nie zapisywał, a pieniądze dawał temu, kto potrzebował.

Moi znajomi wysoko cenili sobie tatusia za jego serdeczność i otwartość. Zdarzało się, że gdy mamusia wyjeżdżała do swoich sanatoriów a do mnie przychodzili przyjaciele, ojciec zatrzymywał ich na kolację. Kiedyś po takim wieczorze – było nas razem z siedem, osiem osób – zaprosił wszystkich do kina. Poszliśmy do Słońca<sup>45</sup> przy placu Wolności, najpiękniejszego chyba kina w Poznaniu. Tatuliński kupił bilety, ale że był przewidujący, nie dla całej grupy razem, tylko po dwa, trzy w różnych miejscach sali. Wchodziliśmy też osobno, żeby ludzie, którzy już siedzieli, nie mówili: „*Patrzcie, Żydzi przyszli wycieczką*”. Gdybyśmy siedli wspólnie, ktoś mógłby rzucić nieprzyjemne słowo.



Odziedziczyłam po ojcu to ciepło. Nie śmiałam się cały czas i miałam w sobie dużo nieśmiałości, ale byłam radosną osobą i może tym zdobywałam przyjaciół. Mama taka nie była. Nazywała mnie Fira, choć przyjaciele i rodzina wołali na mnie Fireczka, Firunia, Firus. Mówiłam do niej „mamusiu”, żeby się przypodobać, ale ona z natury była zdystansowana. Wyjątkowo nie lubiła spotkań i przyjęć. Myślę, że w innych domach podobne spotkania odbywały się częściej, choć między poznańskimi Żydami życie towarzyskie aż tak silnie nie kwitło. Wielu przyjechało tu za zarobkiem, za lepszym życiem po wojnie, zostawiając krewnych w rodzinnych miasteczkach. To z nimi utrzymywali ściśle stosunki. Ja też często jeździłam do Brzezin, do moich dziadków, cioć, kuzynów. W Poznaniu bliskich przyjaciół rodzice nie mieli. Ojciec wieczory spędzał w domu, dużo czytał, czasem szli z mamusią na spacer albo do opery. Należał do syjonistycznej organizacji, do której wpłacał składki na budowę państwa żydowskiego i na której spotkania czasem chodził. Omawiali referaty o sytuacji w Palestynie i dyskutowali. Syjonistą był od młodości. Jeszcze w czasach charkowskich z Zaharem, swoim starszym bratem, kupili parcelę w Hajfie. Mamę z kolei odnalazły dwie koleżanki z młodości, Anna Reinowa i Regina Patałowska. Obie były z Kalisza i obie zamieszkały w Poznaniu. Czasem umawiały się we trzy w jakiejś kawiarni, czasem one wpadały do nas. Nawet niespodziewanie: – *Czy jest mamusia?* I zostawały na herbacie. Ale to nie były przyjaciółki od serca, moja mamusia takich nie miała.

Osiemnastoletnia Fira Melamedzon.  
Poznań, grudzień 1933

Fira Melamedzon czyta list od Maksa Brandta.  
Kalisz, sierpień 1933







Religijnymi Żydami nie byliśmy, żyliśmy jak chrześcijanie. Ani nie trzymaliśmy koszernego domu – jadałam wieprzową kielbasę i szynkę – ani nie urządzałam szabasowej kolacji. Nie chodziliśmy też do synagogi, choć mieszkaliśmy tuż obok niej. W soboty nasz skład był otwarty, jak prawie wszystkie żydowskie interesy w Poznaniu. Jedynie gdy nastawało wielkie święto – Nowy Rok albo Jom Kipur – i wstyd było pracować, tatuś zamykał interes. Wychodził na dziesiątą do synagogi modlić się – w sercu, bo słów modlitw nie znał – a w domu pościł i pił herbatę, co najwyżej zjadł kanapkę w ciągu dnia. Ja robiłam tak samo. Ale już w Pesach<sup>46</sup>, choć kupowaliśmy macę, jedliśmy także zwykły chleb na zakwasie – nie do pomysłenia u religijnych Żydów. A takich świąt jak Szewuot czy Purim w ogóle nie obchodziliśmy. Rodzice mieliby się przebierać i wygłupiać? Synagoga była za wielka jak na liczbę Żydów w Poznaniu, ale też na co dzień niewielu do niej chodziło<sup>47</sup>. Z nas młodych tylko garstka, chociaż podczas ważnych świąt zbieraliśmy się liczniej. Szłam wtedy na nabożeństwo chętnie, bo wiedziałam, że spotkam przyjaciół. Wyjdziemy na zewnątrz, staniemy przed synagogą i będziemy rozmawiać.

H. Chmielnicki, Fira Melamedzon i Adek Engel przed Nową Synagogą przy ul. Stawnej. Chmielnicki, żydowski student z Warszawy, odwiedził kolegę Engla i był przez niego oraz Firę oprowadzany po mieście. Poznań, wrzesień 1936

Gwiazda Dawida nad synagogą. Poznań 1936

Maksa Brandta znałam chyba z tych spotkań przed synagogą. Ze wspólnego towarzystwa, w którym się obracaliśmy. Dopiero od dnia, w którym poszłam z nim na karnawałowy bal, zaczęliśmy spędzać razem każdą wolną chwilę. Był wysoki, czarnowłosy, przystojny, a z charakteru dobry i szczery. Skończył niemieckie gimnazjum i studiował chemię na uniwersytecie. Jak ja był jedynakiem, ale nie miał ojca – zginął na wojnie światowej – i matka dostawała z Niemiec wdowią rentę. Nie starczało im na życie, więc najmowała się u ludzi: sprzątała czy u kogoś służyła, nie pamiętam. Maks, by mieć na naukę, udzielał korepetycji. Wynajmowali małe mieszkanie ulicę od nas, na Mokrej – pamiętam, że wejście było na rogu z Żydowską<sup>48</sup>. A naprzeciw ich okien, po drugiej stronie tej wąskiej uliczki mieszkała



Fira Melamedzon, jej mama Rachela i Maks Brandt.  
W głębi północna pierzeja Starego Rynku i narożnik  
ul. Rynkowej. Poznań, kwiecień 1934

Fira Melamedzon i Maks Brandt na ul. Nowej.  
Poznań, lipiec 1933



Lipico 1933

rodzina Abrahama Gurmana<sup>49</sup>, przyjaciela Maksa. Ludzie przechodzili dołem, a oni na piętrze rozmawiali sobie przez okna. Abraham był niskim blondynem, znacznie mniej towarzyskim od Maksa, który lubił się bawić i pięknie śpiewał. Obaj pochodzili z niemieckich Żydów żyjących tu od dziesiątków lat, ale w naszym pokoleniu przestawało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. W domach z rodzicami rozmawiali jeszcze po niemiecku, lecz z nami tworzyli mówiącą na co dzień po polsku żydowską młodzież Poznania.

Tamtej zimy niemal codziennie byłem z Maksem na lodowisku. Spędzaliśmy wspólnie każdą wolną chwilę, aż stałem się jego nieodłączną towarzyszką. W sobotę lub w niedzielę chodziliśmy na dancingi, w tygodniu do kina i na spacer. Ciągnęło mnie do niego, bo umiał kochać, ładnie się zachowywał, był czuły, pięknie mówił i całował. Kochał mnie mocno i równie mocno pilnował, żebym nie zadawała się z innymi. Ale nie do końca mógł mnie upilnować. Znajomych mieliśmy mnóstwo.

15  
fina 1915.pl





Maks Brandt przed fontanną Prozerpiny  
na Starym Rynku, w głębi kamienice na rogu ulic  
Żydowskiej i Wielkiej. Poznań, wrzesień 1936

Arek Patałowski. Okolice Kalisza, 1933

Mietek Patałowski. Lata 30. XX wieku

Madzia Einstein na schodach w parku  
przed Teatrem Wielkim. Poznań 1938





Spotykaliśmy się w żydowskiej kawiarni Hirschlika<sup>50</sup> na rogu Maształarskiej i Pocztowej<sup>51</sup> – spokojnej, przyjemnej i niedrogiej. Można powiedzieć nawet, że w urządzeniu skromnej. Stały tam stoliki, krzeselka, był parkiet na wieczorki taneczne, a wszystko bez blichtru. U Hirschlika się po prostu bywało. Kiedy z kimś się umawiałam, to tam, a jak Rita Banaczyk chciała, żeby jej poradziła przy kupnie sukienki, mówiłam: – *Jutro o tej i o tej będę u Hirschlika. Przyjdź, to z tobą pójdę.* Siedzieli przy stoliku i wchodzili różni znajomi, bliżsi i dalsi; dosiadali się i zaczęliśmy rozmowę.

W grupie, w której się obracałam, była Mira Lederówna, Madzia Einstein, bez nadziejnie się w niej kochający Mietek Patałowski, jego starszy brat Arek, który skończył medycynę w Paryżu, Rutka Abkiewicz, Inga Witkowska... Do stolika czy na taneczne wieczorynki dochodzili dalsi znajomi, jak Mietek Guzik albo Różia i Balbina Putermanówny. Z Rózią i Balbiną bawiłam się na tych samych wieczorynkach, ale mało je znałam, wiem, że mieszkały z rodzicami<sup>52</sup>, były wesole i dobrze wychowane. Lepiej znałam Rutkę Abkiewicz<sup>53</sup>, bywała u mnie w domu. Przyjechała z małego miasta na studia, ale więcej czasu niż na naukę poświęcała na to, by się utrzymać. Udzielała Niemcom i niemieckim Żydom konwersacji z języka polskiego, bo starsi najczęściej mówili nieczysto. Arek Patałowski żył z kolei kłopotami ze znalezieniem w Poznaniu pracy. Kiedyś dowiedział się, że któryś z południowoamerykańskich krajów zaprasza do siebie lekarzy i przyszedł do mnie z propozycją. – *Fira, żyjemy jak rodzeństwo, odpowiadamy sobie, pobierzmy się* – bo znaliśmy się od dawna, nasze mamusie były koleżankami. – *Zobaczysz, będziesz miała ze mną dobrze. Twój ojciec zorganizuje nasz wyjazd i będziemy urzędzeni.* Uśmiechnęłam się i powiedziałam: – *Nie.*



Różka Puterman. Poznań, 23 kwietnia 1933

Fira Mełamedzon, Inga Witkowska i Jerzyk Dymant.  
Wschodnia pierzeja Starego Rynku, w głębi narożnik  
ul. Żydowskiej. Poznań, sierpień 1937



INGA



JA + JERZYK.



JA.



JE  
RZY



LOLEK &

MIĘTEK PATAKOWSKI  
PRZYJACIEL.



JA

MOJA - POLA DYMANT (W DOKONANIE)  
CIOCIA



FO  
NA-  
TA-  
NIE,  
GO-  
SC  
W  
PO-  
ZNA  
NIU

Z  
ŁĘ  
CZY  
CY

NASZE MATKI  
POZNAŁY SIĘ W  
KARLIZBADZIE  
W r. 1912.



INGA



INGA JERZYK

IMAMA JERZYKA



JE-  
RZYK

INGA  
WITKOWSKA

